Manuela Gretkowska: *Poetka i książę* czyli Co się wydarzyło w Maisons-Laffitte

Adam Gwara: * niepokojąco piękna kobieta *

możesz przebyć życie nie będąc niepokojonym

przez sierpniowe deszcze meteorytów

wypłukujące zdrowy rozsądek spod czapki

znosić los ze stoickim spokojem

stracha na wróble wywróconego przez wiatr

opluć czarnego kota i zakonnice z wiadrami

a mimo to być względnie bezpiecznym do czasu

pojawienia się niepokojąco pięknej kobiety

możesz mieć niebanalny umysł i poczucie humoru

poukładany kalendarz zaplanowanego dentystę

unormowane stosunki ciśnienie i cholesterol

aż raptem któregoś ranka południa wieczora nocy

pod wpływem rutyny alkoholu księżyca poezji

niewydolności krążenia ziemi wokół ciebie

spotka cię piękna jak śmierć i nie znajdziesz już sił

odwagi ani powodów żeby się dłużej opierać

ci którzy próbowali wiedzą że to nieskuteczne

*

* *

Ona mówiła o swoim życiu "*mój kurewsko-infantylny życiorys*" i w złej godzinie rozpaczała, że nie miała szczęścia do mężczyzn. Na szczęście miewała również dobre godziny i wtedy całą Polskę wzruszały jej wyznania w rodzaju: "*Na całych jeziorach tyyy...*". On podsumował swoje życie bardziej stonowanie: "*Mam poczucie zmarnowanego życia. Mówię nie o ambicjach, ale o życiu czysto osobistym. Wszystko co zrobiłem, zrobiłem kosztem życia osobistego, którego nie mam. Bywa to niekiedy dość dokuczliwe. Przypuszczam jednak, że nie umiałbym żyć inaczej*".

https://www.youtube.com/watch?v=wi5txVWB7Oc&list=PLym0JmiLl7JvcBwDX3Jm5_9lHoMNGWoZD

W gęsto zapisanym kalendarzyku Agnieszki Osieckiej z 1957 roku nie ma jednej kartki. Z dni 9.X. 10.X. 11.X 12.X. Został tylko strzępek. Z pewnością wyrwała ją właścicielka kalendarzyka. Pod wtorkiem 8.X. dopisała: 9.X. PARIS. Nad niedzielą 13.X.: PIERWSZY DZIEŃ W LONDYNIE

pod 13.X. na marginesie dopisane: Maisons-Laffitte

i dalej:

9.X. urodziny Maisons-Laffitte

10.X. /nieczytelne/ Zygmunt, St. Augustin rue d'Elisée

11.X. nad Sekwaną, książka, jesień

kolosalna rozmowa z Jerzym [podkreślenie AO]

Co się wtedy wydarzyło między młodą (21 lat) poetką z Polski, a niemłodym (51 lat) Jerzym Giedroyciem, redaktorem i wydawcą paryskiej "Kultury"? Cóż to była za "kolosalna rozmowa"? I "z Jerzym"? Nie z panem redaktorem? Nie z p. Giedroyciem? Nie z p. Jerzym? Z Jerzym??? W kalendarzyku ten tajemniczy zapis powtarza się jeszcze dwa razy! I kilka razy pytanie (z piosenki śpiewanej przez Doris Day w thrillerze Hitchcocka "Człowiek, który wiedział za dużo" z 1956 roku) "que sera?", "co będzie?". A cały rok podsumowuje w podwójnej otoczce krótkie "PYSZNY ROK". Temat na opowieść przynajmniej tak uwodzącą, jak słynne "Co się wydarzyło w Madison County". Przynajmniej.

Agnieszka Osiecka pewnego jesiennego dnia roku 1957 wpadła do Maisons-Laffitte (podczas pobytu z kolegami z STS-u na winobraniu we Francji, żeby zostawić tam manuskrypt swojego chłopaka Marka Hłaski). I wtedy Jerzy Giedroyc zaznał tego, co Francuzi nazywają "*coup de foudre*", ciosu w sam splot słoneczny. Polskie tłumaczenie brzmi bardziej oględnie: "*miłość od pierwszego wejrzenia*", Francuzi nie są tacy zachowawczy w nazywaniu gwałtownych uczuć, w ich języku to "*uderzenie pioruna*", w serce redaktora "Kultury" trafił "*grom z jasnego nieba*".

Dlatego recenzję książki Manueli Gretkowskiej "Poetka i książę" otwieram wierszem, który, moim zdaniem, doskonale oddaje to, co wydarzyło się w Maisons-Laffitte, wielka miłość nagła jak nagła może być śmierć.

Nawiązanie do znanej książki i jeszcze bardziej znanego filmu "Co się wydarzyło w Madison County" (niezapomniani Meryl Streep & Clint Eastwood, reż. Clint Eastwood) nie jest przypadkowe, kto czytał, albo przynajmniej oglądał film, ten wie. Chodzi mi o rozmiar uczucia pomnożonego przez jego nierealizowalność. Bo poza tym wszystko było zupełnie inaczej, to oczywiste, każda historia jest inna. Jaka była ta? Co tak naprawdę wydarzyło się między "poetką i księciem"? Obydwoje od dawna nie żyją, nie zapytamy ich, zresztą nie zdradziliby, byli dyskretni, całe życie milczeli. Dziś możemy się jedynie domyślać. A próbujemy się domyślać, bo ludzie z Panteonu są skarbem kultury, chcemy wiedzieć, kim byli, jak wyglądało ich życie, ich wybory, międzyludzkie konstelacje, uczucia, co ich tworzyło, co było tworzywem ich dzieła...

Pisarka Manuela Gretkowska o "niemożliwej miłości" między Agnieszką Osiecką i Jerzym Giedroyciem napisała powieść. Na osnowie faktów pociągnęła wątek fabularny i zaproponowała nam swoją wersję. I świetnie! Oto "pierwsza powieść o Agnieszce Osieckiej", jak informuje podtytuł. Oto jest. Mam jednak pewien zasadniczy kłopot z tą powieścią. Z jednej strony cieszę się, że Manuela Gretkowska ją napisała a ja przeczytałam (i to raz za razem!). Z drugiej, nie odczułam rozkoszy, jakiej oczekiwałam (i to aż dwa razy). Jednym słowem pokochałam się, ale bez szczytowania, ale: bo to raz?

I nie w tym rzecz, że książka mi się nie podoba, bo samo podobanie się nie jest dla mnie wiążącym kryterium. Jedna książka może mi się podobać i już nigdy do niej nie wrócę, inna może mi się nie podobać i właśnie dlatego przeczytam ją jeszcze raz, a może i kolejny raz (tak na przykład było z "Białą bluzką" Agnieszki Osieckiej, 3x, bez szału, ale z rosnącą ciekawością, monodramu wg nie widziałam). Bo chcę poznawać ten inny od mojego świata świat autora, światy autorów, mnogość światów. Tak było z dotychczasowymi książkami autorstwa Manueli Gretkowskiej - a przeczytałam prawie wszystkie od "My zdies' emigranty" po "Trans" łącznie ze "Scenami z życia pozamałżeńskiego" napisanymi na cztery ręce z Piotrem Pietuchą, partnerem pisarki. Inna sprawa, że nie w kolejności ukazywania się, a od "Polki" wstecz i wprzód i - aż do "Poetki i księcia" - po razie.

Wygląda jednak na to, że opis zderzenia tych dwóch osobowości zamiast dodać opowieści impetu, odebrało jej moc. Jakby się znihilowało. Jakby szampanowi uleciały bąbelki. Dętce powietrze. A może po prostu to jest tak, że Manuela Gretkowska umie opisywać jedynie swoje życie - a już szczególnie, gdy "*napędza ją złość*", jak pisała "Polityka" o "Transie", gdzie autorka rozlicza się z miłości do niejakiego Laskiego, czyli reżysera Andrzeja Żuławskiego? Gdy pisze od siebie o sobie, opowieść jest żywa, autorka porusza się w swoim "*orgiastyczno-mitycznym stylu*" (znów określenie "Polityki") i wszystko mieni się ostrymi neonowymi światłami (można co najwyżej nie lubić, bo *wali po oczach*, ale mnie to, jak pisałam, nie dotyczy), gdy pisze o innych, opowieść robi się blada, światła gasną?

A może to nie temat na jej pióro, jej wyobraźnię? A może każdy sam musi się podomyślać ze swojego klucza, "jak to tam było", znając te trochę faktów, które ujawniła? I nie chodzi tu bynajmniej o jakieś niedyskrecje łóżkowe (których na szczęście Gretkowska ani nie ujawniała, ani nie dofantazjowywała poza jednym niewinnym *momentem*, za co duży plus, bo naprawdę do końca się bałam), ale o to, jak ludzie tej miary, tego oglądu świata, tych horyzontów przeżywają miłość (czy też fascynację sobą, nazwijmy to bezpieczniej, bo czy dla Osieckiej była to miłość? wszystko na to wskazuje, że jednak nie) w sytuacji prawie doskonałej niemożności jej realizacji i to z wielu

ważniejszych powodów, niż różnica wieku.

Tę dałoby się bez większych trudności przeskoczyć, zwłaszcza w kręgu ludzi o wolnych, niezależnych umysłach, w środowisku artystycznej bohemy, gdzie liczy się porozumienie dusz, bliska długość fal, gdyby nie te o wiele większe: Osiecka była wędrownym ptakiem dopiero zaczynającym oblatywać świat, Giedroyc mocno zakorzenionym drzewem, starym dębem, na którego gałęzi na chwilkę tylko przysiadła (polipem przytwierdzonym do biurka, jak sam o sobie myślał).

To było najważniejszą, na dobrą sprawę jedyną przeszkodą, ona nie nadawała się do osiadłego trybu życia przy jednym mężczyźnie, chciała przeglądać się w wielu zakochanych oczach, ciągle w kimś innym zakochiwać, on nie mógł rzucić wszystkiego i ruszyć za nią, jedyną taką kobietą na całe jego życie, bo szedł za swoim przeznaczeniem, "Kulturą". Choć rozważał taki wariant a ona spacerując ulicami Paryża rozmyślała nad zostaniem (ona i emigracja???).

Ale i tak, ba, tym bardziej wpadli na siebie po coś. Osiecka spojrzała na świat przez pryzmat poglądów Giedroycia, Giedroyc poczuł, że jest zdolny do miłości, mimo dotychczasowego życia z sercem zawiązanym na supeł - i, o, cudzie, serce ożyło i zaczęło bić jak szalone: "*Mon Dieu! qu'est ce que passe avec moi*" ("Mój Boże, co się ze mną dzieje"), wyznawał Agnieszce po francusku w Londynie, a ona to zapisała w kalendarzu zaraz po jego wyjeździe. Dzięki poznaniu młodej (inteligentnej i pięknej) Agnieszki dowiedział się, że wysoka jest cena, jaką płaci żyjąc "dla sprawy", to duże rozpoznanie. Odtąd płacił cenę świadomie. A ona wróciła do Polski mentalnie odmieniona, dojrzalsza świadomościowo, pożegnała dotychczasową Agusię.

My, z naszej tak odległej perspektywy, wiemy jak potoczyły się ich losy od tamtej pamiętnej końcówki 1957 roku aż do samego końca. Osiecka nie dostała paszportu przez kilka kolejnych lat. Rozdzieliło ją to od Giedroycia (a przy okazji i od Marka Hłaski, oficjalnego narzeczonego, gdy on, jak wiemy, znalazł się poza Polską, a mianowicie na pierwsze w Maisons-Laffitte). Potem "poetka i książę" spotykali się jeszcze wielokrotnie, całą resztę życia korespondowali ze sobą. Ona, o tyle lat młodsza, umarła ponad 3 lata przed nim (7 marca 1997 roku), zostały po nich ukryte w archiwach listy.

On pod koniec życia (zmarł 14 września 2000 roku) powiedział, że Polska po 1989 i tak nie jest taka, jaką sobie wymarzył. Nigdy do Polski nie przyjechał. Niemniej dokonał dla Polski tak dużo jak mało kto, jak nikt, wydawał pisarzy w Polsce Ludowej programowo pomijanych. I tworzył pismo analizujące i komentujące wydarzenia w Polsce i wschodniej Europie bez ideologicznej zapiekłości tak charakterystycznej dla powojennej Polonii z jednej strony i ideologicznego zaślepienia w PRL-u z drugiej.

W sumie od 1947 roku wyszło 637 numerów miesięcznika "Kultura" i od 1962 roku 171 "Zeszytów Historycznych". Ostatni, pośmiertny numer "Kultury", zgodnie z jego wolą, otwiera (po liście do czytelników Zofii Hertz i Henryka Giedroycia), wiersz Agnieszki Osieckiej napisany specjalnie dla niego kiedyś, kiedyś jeszcze. To długi wiersz, a kończy się tak:

Przywilejem i hańbą polityka jest odpoczynek.

Nie zaznał Pan tego.

Przywilejem takich jak Pan - jest miejsce w historii i wieczny szacunek.

I zazna Pan tego.

Ostatnie dwa wersy z tego wiersza wykute są na grobie Jerzego Giedroycia. Cały wiersz można przeczytać na osobnej tabliczce, przy słowach Poetki portret zamyślonego Księcia-Redaktora, miłość niespełniona spełnia się w nieskończoności, *happy endlessness*. Wiersz ten kończy również powieść Manueli Gretkowskiej. Pisarka podsumowuje interpretacją tekstu Osieckiej zatytułowanego "Najtrudniejsza decyzja w moim życiu", *de facto* odpowiedzi na gazetową ankietę z roku 1959, że była to rezygnacja z "jedynej dojrzałej miłości do mężczyzny" na rzecz powrotu "do Polski, do Warszawy, bez której jej życie byłoby puste". Hm... A sama Osiecka ostrzegała: "bardzo trudno jest pisarzowi opisać pisarza".

*

* *

"*Oczywiście każdy pisze, jak chce. Ale każdy też czyta, jak chce*", *i to są słowa Agnieszki Osieckiej.*

Tak, to było dla obojga niewątpliwie bardzo znaczące spotkanie. Na resztę życia. Może i Agnieszka Osiecka nie miała szczęścia do miłości "tej jednej jedynej po grób" bez cieni, chmur i burz, o jakiej marzą czytelniczki harlekinów, ale z pewnością miała szczęście do mężczyzn, z cieniami, chmurami i burzami. I nie kolekcjonowała ich, jak czasami się ktoś wyzłośliwi, po prostu zakochiwali się w niej mężczyźni tabunami, bo była magiczna, a w tych najszczególniejszych i ona się zakochiwała. A że serce miała wielkie jak Brama Floriańska? Jak wypominał jej żartobliwie ojciec? Że już od wczesnej młodości cieszyła się takim powodzeniem, że aż samą ją to zdumiewało? Ale, jak zwierzała się dziennikowi, bardzo jej to konweniowało? (a nam w jej piosenkach)

Przyciągała ludzi jak magnes, miała charyzmatyczną osobowość. No i była wybitna. Ojciec, bo to ojca córa była, więc ojciec, artysta-pianista(-akordeonista), wychował ją na wolnego człowieka. Niezależnie od okoliczności historycznych, politycznych, społecznych. Miała w sobie szlachetną (i po dziadku ze strony ojca, szlachecką) mieszkankę krwi narodów monarchii austro-węgierskiej, rumuńsko-wołosko-serbsko-węgiersko-polskiej. Wielokulturowość była dla niej normą. Opanowanie umiejętności światowca oczywistością, od dziecka uczyła się tańca, pływania, jazdy na nartach, gry w tenisa, nieomal latania szybowcem, oraz, ponad wszystko, języków. Swobodnie posługiwała się wszystkimi najważniejszymi: francuskim, angielskim, niemieckim i rosyjskim.

Była daleko ponad zwykłe oczytanie oczytana. Ale, właśnie, niekoniecznie w Sienkiewiczu. Na uwagę mamy, że powinna znać "Trylogię", ojciec wielkim głosem zaprotestował: "ja niczego nie powinienem i ona niczego nie powinna!". I tego się trzymał w stosunku do siebie i do córki. Ponadto Agnieszka od 9 roku życia systematycznie prowadziła dziennik (od 1945 roku, nie, jak podaje Gretkowska, od 1952), ćwiczyła autorefleksję i umiejętność posługiwania się językiem, argumentowania. Szkołę skończyła o rok wcześniej od rówieśników. W wieku 21 lat, gdy

zawitała do Maisons-Laffitte, miała już od roku ukończone studia dziennikarskie. Inna sprawa, że ich nie lubiła.

Ale dzięki nim mogła startować do łódzkiej Filmówki na wydział reżyserski. I dostać się, szczęściem wybrańców. A także publikować teksty w prasie, co od 18/19-go roku życia regularnie robiła. I były to świetne teksty! Zbiór jej recenzji filmowych z czasów młodości opublikowanych w tomie "Filmidła" (w roku 2013) to dowód na to, jak bardzo odstawała od dziewcząt (i chłopców) w swoim wieku. Widziała o wiele więcej, pisała dojrzale, świeżo, oryginalnie. Jej teksty iskrzą się dowcipem i erudycją, zadziwiają suwerennością sądów. Miała szeroki ogląd świata (już przed Giedroyciem, inna nie mogłaby go doprowadzić do takiego wstrząsu), a przy tym lekkie, przekorne, błyskotliwe pióro. Miała - obok niewątpliwego talentu poetyckiego - niepodrabialny dar porywającego gawędzenia.

I jakby tego nie było dość, była autentycznie piękna, była, rzec by można, okazem dorodnej dziewczyny: jej szlachetno-szlachecka krew manifestowała się także w urodzie, klasyczne rysy twarzy, jasna cera, długie gęste falujące włosy koloru płowo ciemno blond, czujne, niebieskie oczy, proste brwi, uszy jak wyrzeźbione (ach, w tych jej uszach zakocha się za kilka lat sam Jeremi Przybora). Nie za wysoka, nie za niska (z 165 centymetrami była wzrostu średniego, nie była "niewysoka", jak pisze Manuela Gretkowska), nie za chuda, nie za gruba, piękne dłonie, kształtne nogi, sportowa sylwetka. Cud-miód.

Mogłaby służyć za model do starożytnych marmurowych posągów bogiń piękności i mądrości. Lub za wzorzec ideału *Nowej Kobiety* "Nowego Świata", Europy Wschodniej w swoich założeniach lepszej od Zachodniej. Nie tylko pięknej, ale i wykształconej, wolnej, niezależnej. Nie była feministką, nie musiała, była wolnym człowiekiem, kosmopolitą. Mówię o ideale, nie o rzeczywistości. Ojciec wychował ją na ideał współczesnej kobiety-człowieka w duchu globalnego Nowego Świata bez granic i ograniczeń.

W roku 1957 Zachód proponował swoje wzorce "kobiecego ideału". Uosobiały je dwie najjaśniejsze na filmowym firmamencie gwiazdy kina, słynne "blond boginie". Ameryka miała Marilyn Monroe, zmysłową kobietę-dziecko, (lansowane) "marzenie mężczyzn", "rozkoszne głupiątko o zmysłowych kształtach", która w końcu sama nie wytrzymywała wciskania jej w taki wizerunek (można powiedzieć: "wyzwoliła ją śmierć", lub "wyzwoliła się uciekając w śmierć"). Była platynową blondynką tlenioną, włosy zawsze grzecznie przycięte, ułożone.

Na ekranach szedł właśnie film "The Prince and the Showgirl" - "Książę i aktoreczka" (rok wcześniej inna blond piękność z Hollywood poślubiła księcia Monaco, więc w nawiązaniu). Osiecka zobaczyła go w Londynie tamtej jesieni, bez entuzjazmu (a swoją drogą jak to praktycznie znać języki, wszędzie można sobie pójść do kina!). Fakt, nie był to najlepszy film w repertuarze MM, ale trzeba przypomnieć, że aktorka sama go wyprodukowała, wyemancypowała się z żerującego na niej systemu hollywoodzkich wytwórni filmowych. Tylko na ten jeden raz, ale jednak. Trzeba jej to zaliczyć na plus. Poza tym poślubiła gwiazdę wśród intelektualistów Ameryki, dramaturga Arthura Millera. Nie na długo, ale zawsze. Spodobało mu się w niej nie tylko to, co podobało się całemu światu, ale fakt, że czytała "Braci Karamazow", marzyła jej się rola Gruszeńki (w roku 1958 zagrała ją germańska blond gwiazda Maria Schell).

Francja miała "naturalną" rozjaśnianą, niedbale - seksownie - ufryzowaną blondynkę Brigitte Bardot, jej *emploi* to kobieta-kociak, znacznie bardziej drapieżna od kobiety-dziecka. Młodsza od MM o pół pokolenia była już na tyle wyzwolona, że to ona dobierała sobie partnerów dla własnej, a nie ich przyjemności. Było to tak postępowe a

zarazem występne, że wyklął ją Watykan (za film z 1956 roku "I Bóg stworzył kobietę"). I ona w końcu uciekała przed własnym wizerunkiem blond sex-bomby, uciekła, gdy wsparła ją metryka (miała 39 lat, gdy się wycofała z eksploatującego ją przemysłu filmowego), ale także nieustępliwy charakter.

Agnieszka Osiecka lubiła zadziorną BB. I widziała (nieco później) film "Paryżanka", ale o filmie (i kobiecie w nim) nie miała dobrego zdania: "*Bardotka gra tutaj zwyczajną gąskę zakochaną po uszy i po uszy pogrążoną w głupiutkiej, starej jak świat damskiej strategii zmierzającej do zdobycia i zachowania ukochanego mężczyzny. Tego za mało na Bardotkę słynącą jako zjawisko seksualno-socjologiczne XX wieku i za mało, jak na dobry film*". ("Film", nr 24/1959). Niemniej sama BB była dumna z tego filmu, jak pisała w swoim memuarach, proponowano jej znacznie gorsze, ludzie oczekiwali "dostępnej" drapieżnej blondynki.

Dlaczego przywołuję MM i BB? Bo gdyby to Europa Wschodnia mogła wtedy zaproponować swoją gwiazdę - niedościgły podziwiany wzór kobiecej urody i osobowości - idealną kandydatką najczystszej próby byłaby właśnie ona, Agnieszka Osiecka, AchAgnieszka OchOsiecka, w końcu ojciec wychowywał ją na "gwiazdę pierwszej wielkości". To ona - oprócz tego, że naturalna blondynka, *circa* 60/65 kilo wdzięku z włosami nonszalancko związanymi w bujny dumny koński ogon (bynajmniej nie kitkę, jak chce Gretkowska) - była wykształcona, suwerenna, twórcza, właśnie została przyjęta na drugi fakultet...

Gdyby naprzeciwko Giedroycia usiadła cała ta trójka: BB, MM i AO, oślepłby od ich blasku, ale na bank wybrałby AO. BB i MM, zwłaszcza MM były tworami sztucznymi. Agnieszka była doskonała jak ją natura stworzyła, bez przeróbek. I - co jeszcze ważniejsze - tylko z Agnieszką mógł sobie pogadać tak, że trzykrotnie odnotowała w kalendarzyku "kolosalna rozmowa z Jerzym".

*

* *

Pomysł Manueli Gretkowskiej na opisanie historii "miłości" między dziennikarką-poetką a redaktorem "Kultury" osadza się na tajnej podróży "zakochanego Jerzego" za "nieobecną Agnieszką" do Londynu. Nigdy nie przeszli na "ty", ale zapis z 11 października zdradza, że coś się szczególnego między tym dwojgiem wydarzyło, odtąd w dzienniku "młodej poetki" "pan redaktor" często będzie "Jerzym". Doprawdy, ekscytujące, kolosalne. Tym bardziej szkoda, że jest to przedstawione tak... beznamiętnie. Jakby pisarka straciła zęby, pazury, ogon i żar literackiego smoka na rzecz... gumowego smoczka.

I nie chodzi mi tu zaraz o zianie żywym ogniem, jak to potrafi, gdy idzie o jej własne historie. Ale o opowieść żywą, a nie papierową. Krytyki książki są najróżniejsze - jak to zresztą coraz częściej bywa, gdy nie wiadomo, co jest uczciwą krytyką, a co chwytem reklamowym - od "*...połknąłem nową powieść... /.../ Manuela Gretkowska stworzyła sugestywny portret tych dwojga, tak pozornie odległych od siebie. A przy tym też portret dwóch pokoleń /.../ Jest jakaś dzikość w pokoleniu, a właściwie środowisku Osieckiej, a w tej dzikości wolność, ta, której żadna władza nie jest w stanie odebrać.*" (Remigiusz Grzela) po "*Nowa książka Manueli Gretkowskiej jest po prostu zła. Uzasadnieniem tej tezy jest prawie każda jej strona, gdzie naiwne romansidełko udaje psychologiczną opowieść. /.../ Po co ja to do... przeczytałem /.../ Z materiału na genialną powieść powstała mierna powiastka. Dokonała tego*

Manuela Gretkowska. To też jakieś osiągnięcie. Nie polecam." (Wojciech Szot)

Ja z pewnością nie żałuję, że ją przeczytałam, nawet jeśli się trochę pomęczyłam (i to, że przypomnę, w dwójnasób, ale wszak na własne życzenie). Nie polecam tym, którzy mają chętkę na porywający romans, bo się zawiodą, polecam tym, którzy książkę uznają za uchylenie drzwi do świata Osieckiej i Giedroycia, i sami dotkają sobie to, co opuściła (lub, niestety, spartoliła) autorka "Poetki i księcia". Wymaga to zaangażowania i dociekliwości, ale, jeśli chodzi o mnie, czuję się doprawdy głęboko usatysfakcjonowana (a jednak, i to wielokrotnie). I za to jestem wdzięczna Manueli Gretkowskiej. Ba, w tym sensie książka dała mi o wiele więcej, niż gdybym ją "połknęła".

Bowiem między pierwszym, październikowym, a drugim, noworocznym, czytaniem przypomniałam sobie, doczytałam, lub dogrzebałam się w dostępnych w necie archiwach tyle o osobach dramatu, że ze skromnej makatki autorstwa Gretkowskiej zrobił mi się prawdziwy gęsty arras z własnego warsztatu, pełna panorama czasów i charakterystyka postaci, jakby rzecz działa się tu i teraz a wszystkie te osoby żyły i przeżywały swoje uczuciowe dramaty w czasie bieżącym.

Inna sprawa, że sztukę tkania sobie własnych obrazów interesujących mnie czasów i postaci opanowaną mam od dawna, czytam książki tematami i/lub autorami *en bloc* i - odkąd to jest możliwe - multimedialnie, mam więc wprawę i solidną bazę, jestem biegła w tej dziedzinie. Akurat nie tak dawno, bo w roku 2014 przerobiłam wprzód i wstecz "całego Hłaskę" (korespondowałam nawet z jego biografem, Andrzejem Czyżewskim aż do jego śmierci w lutym 2016), a od 2016 do 2018 głównym (obok pobocznych) przedmiotem moich zainteresowań był Czesław Miłosz, uporządkowałam sobie i uzupełniłam "wszystko autorstwa, o autorze i obok autora...", a zaczęłam od "Miłosza w Krakowie" Agnieszki Kosińskiej w związku z tym, że poznałam ją osobiście i poczułam się zachęcona do przeczytania jej 800-stronicowej opowieści na bazie dzienników z sekretarzowania nobliście przez ostatnie 8 lat jego życia (bardzo ciekawe wspomnienia i refleksje, chyba tylko Goethe ma takie dzieło o sobie!).

Tu czas zaznaczyć, że i ja, podobnie jak Manuela Gretkowska, miałam to szczęście, że zetknęłam się zarówno z Panią Bohaterką jak i Panem Bohaterem książki. Agnieszkę Osiecką poznałam w 1988 roku w Szwajcarii, gdy przyjechała na zaproszenie Barbary Młynarskiej-Ahrens do jej Klubu dla Polonii, przed spotkaniem porozmawiałyśmy, wypiłyśmy razem po lampce wina (dla kurażu przed występem, jak zaznaczyła śmiejąc się śmiechem młodej dziewczyny, co zapamiętałam), zrobiłam trochę zdjęć w plenerze, potem wykonałam swoje zadanie, czyli napisałam o spotkaniu do polonijnego pisma.

Nie musiałam się w niej zakochiwać, bo już wcześniej ją za jej piosenki, osobowość i "Szpetnych czterdziestoletnich" kochałam, ale zrozumiałam, odczułam, na czym polegał jej magnetyzm, na bezpośredniości, uważności, niebywałej lekkości rozmawiania i, że tak powiem, pełni bycia w tym, co akurat robiła, tu: oddania się bez reszty rozmowie (podobną cechą charakteryzował się też np. Ryszard Kapuściński, nakierowaniem na rozmówcę). Była taka zwyczajna, jak powinien być każdy, i niezwykła jak prawie nikt nie jest. Jak napisał o jej matce i o niej Daniel Passent: "matka jak każda, córka jak żadna".

Gdy w jesieni 1976 roku jako 22-latka po raz pierwszy znalazłam się w Paryżu, po pierwsze powędrowałam do Polskiej Księgarni i nabyłam całe Dzieła Zebrane Witolda Gombrowicza wydane przez "Kulturę". W Polsce przyjaźniłam się z krakowsko-tarnowskimi młodymi aktorami m.in. Andrzejem Grabowskim, poznałam też jego

starszego brata Mikołaja, aktora i reżysera, który właśnie wyreżyserował "Ferdydurke" - o Gombrowiczu było głośno w teatralnym środowisku, a Mikołaj Grabowski miał się stać "reżyserem Gombrowicza". To dzięki Jerzemu Giedroyciowi, jego zespołowi, oraz zaprzyjaźnionemu z "Kulturą" Konstantemu "Kotowi" Jeleńskiemu świat poznał Gombrowicza.

Mieszkając w Szwajcarii często bywałam we Francji, w Paryżu, i wtedy zawsze kupowałam coś w Polskiej Księgarni, głównie były to wydania "Kultury" (choć nie mogę powiedzieć, że "wychowałam się na "Kulturze", byłoby to zbyt zawężające, wychowałam się na dostępnej mi kulturze świata, nie tylko Polski). Na początku lat 90. usiadłam w końcu sama przy biurku... naprzeciwko Księcia-Redaktora w jego legendarnym gabinecie wprowadzona przez serdeczną panią Zofię Hertz. Miałam wtedy do zaproponowania tekst na bazie wywiadów ze Stanisławem Lemem. Z samej publikacji nic nie wyszło, bo zarówno red. Giedroyc jak i Lem uznali tekst za "mało lemowy". Pisarz wtedy, gdy go odwiedzałam, chorował, nie był w swojej zwykłej formie i wolał potem napisać cały tekst raz jeszcze z dodaniem tego wszystkiego, o czym mi nie powiedział.

Ale same spotkania z pisarzem w jego domu na Klinach pod Krakowem i redaktorem Giedroyciem pod Paryżem są oczywiście dla mnie z tych niezapomnianych. A więc raz byłam w tej mitycznej willi w Maisons-Laffitte przy 91, av. de Poissy. Mogę sobie plastycznie wyobrazić to szczególne w polskiej historii miejsce i przywołać we wspomnieniach osoby, które je wtedy zamieszkiwały. Nie wiedziałam, nie miałam świadomości, jak pamiętam, w jakim wieku był wtedy Jerzy Giedroyc, a musiał być po 80. Zapamiętałam go jako eleganckiego budzącego respekt młodego duchem 70-latka.

Tu muszę wtrącić, że Manuela Gretkowska opisała go, jako starszego smutnego pana o psich oczach. Jakże inaczej opisał go Jarosław Abramow-Newerly, jeden z tych, którzy wtedy z STS-em i Agnieszką byli na *vendange* we Francji, w książce "W cieniu paryskiej Kultury" (o tamtej wizycie i o kolejnych pobytach w Maisons-Laffitte). Jerzy Giedroyc miał /rok później/ pięćdziesiąt dwa lata i mocno szpakowate włosy. /dodawało mu to lat i powagi.../: *Zwracały uwagę jego duże, jasne, wypukłe oczy patrzące spod nieco nawisłych powiek. Te unoszone w górę powieki nadawały całej twarzy wyraz wyniosłej godności /.../ Pan Jerzy unikał publicznych wystąpień, cenił prywatność. /.../ Niemały wpływ na wizerunek pana Jerzego miało jego książęce pochodzenie /... miał niski i piękny głos.*

I, co bardzo ważne, zwłaszcza w kontekście zauroczenia błyskotliwej, skorej do inteligentnych żartów Agnieszki, miał poczucie humoru i chętnie się śmiał z dobrych dowcipów, *cichym, wewnętrznym chichotem* "*śmiał się tak bardzo, że chusteczką musiał ocierać łzawiące oczy*" (pisze Jarosław A-N). Wiele to mówi o wspólnej częstotliwości "poetki i księcia". Ale nie mówi o tym nic autorka "Poetki i księcia". W jej książce Jerzy Giedroyc jest nudny - a Agnieszka najbardziej nie lubiła nudnych ludzi - z kolei Agnieszka jest infantylna: "*Żuła cukierki, szeleściła papierkami. Wiedziała, że jest bezczelna. Brakowało podkolanówek i kokardy we włosach. Smarkate kręcą jeszcze kosmyk włosów liżąc lody*". I w tak opisanej dziewczynie miał się zakochać sam Giedroyc? W Lolitce? Nie wiem, czy te cztery zdanka nie zirytowały mnie najbardziej. Z tym, że cała ksiażka pełna jest takiej chcącej budować "nastrój" treści. Ano zgroza.

W maju 1998 roku byłam wśród publiczności w Stacji Naukowej PAN-u w Paryżu, gdzie odbyła się uroczystość nadania doktoratu *honoris causa* Uniwersytetu Wrocławskiego Jerzemu Giedroyciowi. Z tego wydarzenia przechowuję kilka cennych przeźroczy. Książę-Redaktor miał wtedy prawie 92 lata. Agnieszka Osiecka nie żyła już od ponad roku. Wydawca "Kultury" był aktywny do końca swojego długiego mającego trwać 94 lata życia. Zadbał

nawet o to, żeby w ostatnim, pośmiertnym numerze "Kultury" ukazał się wiersz "miłości jego życia". Akurat kupiłam ten numer w Krakowie, WYDANIE KRAJOWE (oryginalny napis na okładce), Giedroyc przewidział, że niewydolny system odejdzie do historii (i dzieło jego życia będzie można kupować w polskich księgarniach) .

Czesław Miłosz napisał w pożegnalnym artykule: *Giedroyc jest jedną z wielkich postaci polskiej historii /../ jako człowiek, który wcześnie zrozumiał, że stosunki pomiędzy wchodzącymi niegdyś w skład [dawnej Rzeczpospolitej] narodami muszą być oparte na nowych zasadach. Śmierć jego jest stratą dla Litwinów, Białorusinów i Ukraińców, ale dzięki niemu nigdy już, miejmy nadzieję, nie zdobędzie przewagi polski etnocentryczny sposób myślenia.*

Bardzo to w duchu kosmopolitycznego myślenia ojca Agnieszki Osieckiej i jego zdolnej córki o otwartej głowie. Nadzieja, jak wiemy, nie spełniła się na krakowskim pogrzebie Miłosza dwa lata później, teraz też nadal musimy ją przywoływać, ale przecież w roku 1957 sprawa wyglądała o wiele bardziej beznadziejnie. Nie udało się w 1958 roku ściągnąć Agnieszki do Francji, mimo, jak się wydaje, poruszania nieba i ziemi. Oficjalnie czekał na nią Marek Hłasko, ale w tajemnicy przed wszystkimi czekał na nią też "Jerzy", jak go sobie w duchu (i dzienniku) nazywała. Nie wygląda na to, żeby się komukowiek zwierzał dlaczego, ale w liście do Kota Jeleńskiego z 17 kwietnia 58 roku pisał: "*Sprawa jest dla mnie niezmiernej wagi. Nie tylko dlatego, że Agnieszka jest mi potrzebna, i to b. pilnie...*", co chyba możemy uznać za bardzo gorące wyznanie zważywszy zdystansowany chłód Księcia.

*

* *

Dlaczego więc nie czuję tego żaru w powieści Manueli Gretkowskiej? Czy pisarz nie może opisać pisarza? Prozaiczka poetkę? A może to jest tak, jak na tym satyrycznym rysunku przedstawiającym Picassa i Dalego rysujących jajko? Każdy po swojemu? I jajko Picassa ma kształt sześcianu *(cube)*, a Dalego wisi na gałęzi drzewka rozlane jak te jego lejące się zegary, ot, co?... Co by było gdyby jeden drugiego sportretował? To wyszedłby Picasso w stylu Dalego, a Dali w stylu Picassa? Lub, jeśli próbowaliby się na krzyż naśladować, wyszłoby ni to, ni sio? Albo gdyby Agnieszka Osiecka napisała powieść/wiersz o Manueli Gretkowskiej? Czy choćby gawędę o książce o sobie? Napisałaby "*bo to wszystko nie tak, nie tak...*"*?* "*sztuczny miód*"*?* "*erzatz*"*?* "*a jeżeli, a jeśli - nie to, no to o co, u diabła...?*"*???*

Czy autorka wściekłego "Transu" może opisać autorkę powieści-lamentu "Neponset"? Rozbierzmy to: Tam, gdzie MG jest dosadna, tam AO jest figlarna, gdzie MG jest fizjologiczna, AO jest metaforyczna, gdzie MG jest zaczepna, AO jest zadziorna, gdzie MG jest metafizyczna, AO jest magiczna, gdzie MG jest złośliwa, AO jest zabawna, gdzie MG jest prowokacyjna, AO jest niefrasobliwa, gdzie MG jest bezwstydna, tam AO jest taktowna, gdzie MG jest sarkastyczna, AO jest satyryczna, gdzie MG jest agresywna, AO jest anegdotyczna, gdzie MG jest drastyczna, AO jest dyskretna, gdzie MG jest skandaliczna, AO jest dowcipna...

Jednym słowem "królik nie opowie ci słonia" (a słoń królika..., żeby nie było niesprawiedliwie). Ale... pisać każdy może. Tyle, że musi się zmierzyć z krytyką. Czytać o swojej książce, że "jest po prostu zła"? Lub, jak litościwiej podsumowała "Poetkę i księcia" Kinga Dunin: "Niestety, Gretkowska nie umie pisać subtelnych powieści psychologicznych, a jednocześnie bała się zaszaleć."?

Jednym słowem, *vide* rozważanie o wzajemnym odmalowywaniu się Picassa i Dalego, wyszło ni to, ni sio. Dunin przynajmniej dopatrzyła się i pochwaliła humor: "*Jeśli jest coś fajnego w tej powieści, to Gretkowska, bo wyposażyła ona bohaterkę w swoje poczucie humoru, zdolność do językowego żartu, przekorę. A to lubię.*" Nie wiem gdzie, bo ja nie uśmiechnęłam ani razu, i to, że przytupnę, przy dwukrotnej lekturze powieści. Ale cóż, zero pomnożone przez dwa, to ciągle zero. I to jest mój pierwszy ból: to wyzuta z humoru powieść o znanej ze skrzącego się poczucia humoru Osieckiej i lubiącym celny żart Giedroyciu. Bo mnie użycie słów "cycki", czy "dupsko" bez dania racji zupełnie nie bawi. I nie chodzi o wulgaryzmy, bo na przytoczoną przez Magdalenę Grochowską, biografkę Giedroycia, anegdotkę z tzw. bluzgiem, roześmiałam się w głos:

Oto w kuchni siedzi Marek Hłasko. Jest przepity, zdrzemnął się. Giedroyc czyta popołudniową pocztę. Naraz mówi z niesmakiem:

- To straszne, jak ta emigracja londyńska jest niezdolna do wspólnego działania...

Hłasko przebudzony:

- A chuj im w dupę, panie redaktorze.

Wszyscy zamarli. A Giedroyc dostał ataku śmiechu.

A przy czytaniu "Poetki i księcia" ni kija. Bowiem chodzi o kontekst. I to jest mój ból drugi, większy: autorka smędzi. Powieść składa się z rewelacji typu "Markiza wyszła z domu o 17", o czym już tysiąc razy rozprawiano, że ten rodzaj pisania się przeżył (choć to Proust) i nie ma prawa powrotu, bo to już nikogo ale to nikogo nie obchodzi. Nawet sama Gretkowska przytacza to zdanie. Nie wiem po co? Proust umieścił to zdanie w spójnym kontekście wielotomowej powieści. Natomiast książka Gretkowskiej roi się od zdań w rodzaju: "*Dopalali swoje papierosy. Niedopałki wdeptali w kałuże*". Bez kontekstu. Ta powieść po prostu nie jest opowieścią, jest składanką mniej lub bardziej ważnych dla historii faktów (częściej mniej) pozbieranych bezładnie do kupy oraz rozdmuchaną zdankami kompletnie nieistotnymi nieudaną próbą fabularyzacji ("niedopałki wdeptali w kałuże"? no i co z tego???)

I mój ból trzeci, największy: Zero budowania napięcia. Zero emocjonalnego ładunku. W wierszu, który zaczyna tę rozprawkę, ładunku jest tyle, że czytelnik ledwie wytrzymuje to napięcie. I choć wiersz nie jest napisany dla potrzeb tego tekstu, dziękuję jego autorowi Adamowi Gwarze za wypożyczenie mi go, bo tak właśnie, jak sobie wyobrażam, musiał się poczuć Giedroyc, gdy doszło do niego, że oto spotkał kobietę idealną, miłość swojego życia... ale tylko na chwilę. A jednak musiał się poczuć szczęśliwy. I zachować wspomnienie tego szczęścia do końca życia, które, jak się miało okazać, trwało i trwało... On 30 lat starszy, przeżył Osiecką.

Jednak mimo bólu nie mam pretensji do autorki. Dzięki tej książce urządziłam sobie porządny studyjny semestr pod tytułem "Osiecka, Giedroyc & Co." i w rezultacie piszę nie recenzję, nie krytykę, nie esej, ale pracę semestralną. Jest temat, jest nad czym popracować. A to ja z kolei lubię. Mam nadzieję, że autorka, jeżeli przypadkiem przeczyta moją "pracę", nie będzie miała do mnie żalu. Aliści, gdybym była autorką, miałabym żal do wydawcy. To wydawca (Znak, litera nova) wpuścił ją w maliny wydając powieść, za którą zbiera cięgi. Więc teraz słowo o wydawcach i do wydawcy.

O wydawcy Giedroyciu mówiła Zofia Hertz: "*Jeśli ktoś napisał dobry, uczciwy artykuł, drukował go, nie interesując*

się, w jakich układach towarzyskich znajdował się autor". Potwierdzam, Jerzy Giedroyc nawet wywiad z Lemem odrzucił jako zbyt mało ciekawy, samo nazwisko "Lem" nic tu nie pomogło. Jeśli Lem, to musi to być na poziomie Lema (a bardzo go cenił i przecież od dawna pod pseudonimem publikował). Manuela Gretkowska to nazwisko znane. Po części, bo zaczęła fetowana przez krytyków jako ta "skandalizująca autorka" (a skandal to głośność), po części, bo wsławiła się założeniem Partii Kobiet, co w swoim czasie narobiło dużo medialnego zgiełku. Można by zaryzykować, że stała się swoistą celebrytką, zapewne więcej ludzi zna ją z pokazywania się w telewizji, niż z czytania jej książek. Ale jeśli pięknie wydać jej książkę, to ludzie kupią.

Bo książka jest naprawdę bardzo elegancko wydana. Sama przyjemność wziąć ją w dłonie, podotykać, pooglądać. W twardych okładkach a na okładkach przełamany i niejako echem powtórzony z awersu na rewers czarno-biały półprofil młodej Osieckiej, piękne zdjęcie pięknej młodej kobiety, spuszczone oczy, zadumanie. Wygląda na nim jak wykuta w marmurze klasyczna płaskorzeźba uchwyconych w jednej twarzy trzech greckich Charyt, bogiń wdzięku, patronek sztuk pięknych, promiennej Aglaji, symbolizującej splendor towarzyski, rozumnej Eufrozyny i Taleji, boginki zabawowego usposobienia, wszystko to miała. Jak widać, moje zachwyty nad jej urodą nie są ani trochę przesadzone. Delikatne rysy poetki podkreślają zarysy kwiatów azalii pociągnięte odblaskowymi barwami: pomarańczowo-ceglastą, seledynowo-zielonkawą i fiołkową. Azalie, czarne kontury na białym tle, powtarzają się też na przedniej i tylnej wyklejce. Ceglasty kolor powtarza się na grzbiecie i jako tło tylnej okładki, zielony, w napisach. No, cudo. Szaty graficznej można pogratulować Magdzie Kuc (projekt) i Vecctezy.com (grafika).

Niestety, na tym (moje) gratulacje się kończą. Na tylnej stronie okładki wydawca zachęca: "*...Gretkowska mistrzowsko opowiada historię miłości...*". I to jest dopiero skandal! Bowiem Gretkowska mistrzowsko, i, owszem, kładzie temat. Rolą wydawcy jest nie tylko wykładanie na książki pieniędzy w celu ich pomnożenia, rolą wydawcy jest dbanie o wizerunek swoich autorów, a także ich chronienie, wydawanie tego, co jest wydawania godne i wstrzymanie się od wydawania książek niewydarzonych.

Jeśli wydawca miałby ochotę się bronić, że to przecież autor jest odpowiedzialny za treść, to niech się wydawca nie wykręca, książka jest pełna błędów! A wyłapanie ich, to już rola redakcji książki, autor nie zawsze panuje nad wszystkimi faktami. Jeżeli na jednej stronie mamy informację, że londyńska ciotka Agnieszki, to była "siostra ojca", a zaraz potem mamy, że ciotka ugościła "siostrzenicę", to jest to niestaranne czytanie lektora, córka siostry ojca, to bratanica. I faktycznie, w dalszej części książki z siostrzenicy robi się bratanica. Ale żeby było ciekawiej, osoba zwana przez Agnieszkę "ciocią Zosią" była jej dalszą krewną (więc nie siostrą ojca), właściwie ciocią-babcią, a może nawet ciotką przyszywaną (jak podaje Daniel Passent w książce "Galeria potworów").

Aktor Laurence Olivier tak właśnie się nazywał, Laurence to imię, Olivier, to nazwisko, więc nie Olivier Laurence (w książce dwa razy powtórzony błąd). No, ale to są, powiedzmy, błędy wybaczalne, będzie gorzej. Choć z góry przepraszam, jeśli to ja się gdzieś mylę, nie wszystko da się zweryfikować ze 100% gwarancją. No, ale że Zbigniew Cybulski do wszystkich zwracał się per "starenia", to chyba pewnik. To na pewno pewnik! Mamy nawet książkę pt. "Cześć, starenia! Cybulski we wspomnieniach", sam "Znak" wydał niedawno biografię Cybulskiego, redaktorzy wydawnictwa powinni ją mieć świeżo w pamięci.

zakończenie ->